

Helena, córka Kazimiery i Franciszka, moja mama

Od dwudziestu już bez mała lat jestem członkiem Związku Polskich Autorów, Dziennikarzy i Tłumaczy w Europie (Association Polonaise des Auteurs, Journalistes et Traducteurs en Europe, A.P.A.J.T.E.) z siedzibą w Paryżu. Otóż z inicjatywy APAJTE powstaje właśnie książka pt. "Nasze Mamy". Będzie tam ponad 20 opowieści z dodatkiem mnóstwa zdjęć o naszych mamach, między innymi o mamie Barbary i Wojciecha Młynarskich (spisana przez Basię). Promocja odbędzie się 31 maja 2015 roku w Warszawie. Będzie tam także opowieść o mojej mamie, oto ona:

HELENA, CÓRKA KAZIMIERY I FRANCISZKA, MOJA MAMA

"To co nas scala, to pamięć i mowa. Oto jedyne królestwo człowieka." (Antoni Libera we wstępie do autobiografii Sławomira Mrożka "Baltazar", Noir sur Blanc, Warszawa 2006)

Siedzieliśmy z mamą naprzeciwko siebie przy restauracyjnym stoliku i z jednej strony cieszyliśmy się z tego nieoczekiwanego tête-à-tête we dwie, z drugiej martwiłyśmy się, bo miał być z nami i mamy mąż, mój tato, i mój mąż, mamy i taty zięć. Tymczasem tato poczuł się źle i został w domu, i jego zięć solidarnie został razem z nim (i psem, o którym potem, bo należy do tej opowieści).

Do restauracji zaprosił nas chłopak mojej przyjaciółki, to u nich nocowali moi rodzice. Ja i mój mąż (i pies), nocowaliśmy w naszym land roverze przysposobionym do wypraw w znacznie dziksze miejsca niż Paryż. Wszystko w nim było, kuchenka, lodówka, szafki, toale(t)ka... oraz spanie w postaci dwóch zwijanych na dzień koi podwieszonych pod płaski dach, który rozkładał się w półokrągłe sklepienie robiąc dodatkową przestrzeń. Sprytny patent.

Był ciepły jesienny wieczór, pianista grał tęskne melodie, wokół nas tętniło światowe życie roku 1985, a my popijając wino czekałyśmy na *spécialités de la maison* w eleganckiej rosyjskiej restauracji w centrum Paryża. Przy fortepianie ukochany mojej przyjaciółki, architekt z wykształcenia, muzyk z zamiłowania, graniem zarabiający na przeżycie w mieście miłości, do którego ściągnęła go z Polski polska miłość.

I wtedy właśnie, w Paryżu, *cit  de l'amour*, w tej wyjątkowej sytuacji, w tej niezwykłej atmosferze i z tym niepokojem w tle, mama opowiedziała mi jak to naprawdę było z tą jej miłością do taty, której byłam jednym z dwóch owoców (po mnie urodziła się jeszcze moja siostra). Miałyśmy czas do późnej nocy, bo pianista grał do ostatnich gości i z nim miałyśmy wrócić do domu.

TAJEMNICA ICH MIŁOŚCI

O tym, że mamę i tatę łączyła wielka miłość, o której w rodzinie krążyły legendy, nie tylko całe życie wiedziałam, ale także widziałam to w ich wzajemnym stosunku do siebie, byli dla siebie czuli, flirtowali ze sobą, mieli sobie zawsze coś do poszeptania w sekrecie przed innymi, byli jak uosobienie jing i jang. Co nie znaczy, że była to wyłącznie "la vie en rose". To było życie jak w życiu, a nie jak w piosence. Właśnie w ten paryski wieczór, zupełnie wyjęty z naszego zwykłego życiorysu, dowiedziałam się szczegółów o trudnych początkach ich związku i różne znane mi fakty i falciki połączyły się w całość, z rozsypanych elementów puzzla ułożył się spójny obraz.

W jesieni 1985 roku mama zbliżała się do 55. roku życia, ja do 32. Mama miała 23 lata, gdy mnie urodziła. Co poprzedziło to kardynalne wydarzenie w jej (i moim, zwłaszcza moim) życiu, właśnie miałam się dowiedzieć. Mama cofnęła się w swoich wspomnieniach o ponad 30 lat. Wydawało mi się to wtedy czasową otchłanią, w końcu żyłam krócej. Mama natomiast wydawała się zupełnie zatopiona w czasie swojej młodości, jakby to było wczoraj. A

ja słuchałam, z rzadka przerywając jej pytaniami, dziwiąc się lub potakując. Przebijające się przez restauracyjne dźwięki fortepianowe impresje "naszego" pianisty podmalowywały opowieść.

Teraz, gdy ja cofam się w swoich wspomnieniach o 30 lat, wiem już jak to funkcjonuje, czas jest jak akordeon z miechem, ulubiony instrument mojego taty, można go rozciągać lub ścisnąć, wydobywać z niego krótkie akordy lub długie pasaże, zależy co i jak głęboko zapisała pamięć, w młodości wspomnienia nie są tak intensywne, bo i miech krótszy, i zbyt intensywnie żyje się nieograniczoną, jak się wydaje, perspektywą przyszłości. Ale z wiekiem czas przeszły zaczyna być przynajmniej tak samo intensywny, jak to, czym żyje się na co dzień, wystarczy umiejętnie operować miechem i palcami po klawiaturze, a harmonia sama gra... To przywilej a nie ułomność wieku, że od razu dodam.

Jak w 1952 roku mama znalazła się w Krakowie, mniej więcej wiedziałam, jak została żoną mojego taty, właśnie się dowadywałam. Już jako nastolatka mama opuściła rodzinny dom na podkarpackiej wsi, gimnazjum skończyła w niewielkim podrzeszowskim miasteczku mieszkając na stacji, do domu rodziców przyjeżdżała tylko w dni wolne od nauki, w wakacje i święta. Po maturze pojechała do Krakowa zdawać na polonistykę.

Zdała jak pan Bóg przykazał, bardzo dobrze, ale czasy były dla takich córek jak ona bardzo złe, nie dostała się, bo "zabrakło jej punktów za pochodzenie". Dziadek, który przed wojną martwił się, skąd weźmie pieniądze na kształcenie powiększającej się gromadki dzieci, po wojnie okazał się "krezusem". Mama znalazła sobie więc tymczasową posadę i pomieszkując kątem u krakowskiej ciotki czekała lepszych czasów.

W swojej wsi miała od lat narzeczonego. Po sąsiedzku. Rodziny planowały fuzję. Ale mama zwlekała z powrotem. Z narzeczonego zaklepanego prawie od piaskownicy, czy, jeśli wziąć pod uwagę uwarunkowania, wspólnego wypasania krów, mama po prostu wyrosła. Dorosła za to do prawdziwej miłości i dojrzałych wyborów.

Wtedy to właśnie los postawił na jej drodze mężczyznę jej życia, mojego tatę *in spe*. Jednak wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że to nie może się udać, nie urodzę się. Na razie istniałam jako jedna z miliardów potencjalnych możliwości w mało prawdopodobnym do zrealizowania marzeniu o połączeniu losów (i DNA) tych dwojga, ofiar strzał bezmyślnego Amora skonfrontowanych z twardymi konwencjami społeczeństw, w których żyli. Towarzyski skandal nie wchodził w grę. Rodzice mamy stanęli okoniem. Porzucony narzeczony szalał. Jego rodzina także. No, dramat.

Mój tato nie miał już rodziców, oboje zdążyli umrzeć przed wojną. W tym wypadku pewnie na szczęście, bo może też byliby na "nie". Za to sam był rodzicem. Był starszym od mamy o 11 lat wdowcem z dwiema małymi córeczkami, w świeżej żałobie po zmarłej młodo żonie. Żeby sprawy nie komplikować jeszcze bardziej niż była, wstępnie przyznał się mamie tylko do jednej córki drugą ukrywając póki co u swojej siostry poza Krakowem. Potem głupio było odkręcać, aż w końcu samo się wydało, bo gdy "stanął na nogi", czyli ożenił się z moją mamą, siostra odesłała mu dziecko. Trudno było nie przyjąć 9-latki. Mama poślubiła tatę z gotową rodziną w pakiecie.

Obiektywnie rzecz biorąc mama była młoda i ładna, tato po męsku przystojny. Ale łysiejący, co go postarzało. A jak na złość wzgardzony narzeczony miał bujną młodzieńczą czuprynę. Dobrze, że to nie włosy decydują o męskiej atrakcyjności (dla mnie i mojej siostry w tym wypadku "być albo nie być"). Tato umiał być czarujący, miał naturalny wdzięk, dziś powiedzielibyśmy, zdrową dawkę testosteronu, nie za dużo, ale i nie za mało. I - w tych społecznych ramach, w jakich się poruszał - pociągającą światowość.

Z dziada pradziada krakowianin, cioteczny wnuk ex-prezydenta polski, Stanisława Wojciechowskiego (ho, ho, herbu Nałęcz), z siostrami-mieszczkami z pretensjami, starszym bratem, który po odysei z armią Andersa wrócił do Polski z Belgii, gdzie zostawił belgijską żonę i pół-Belgijkę-córkę, ale zabrał z sobą mit żołnierza-światowca, czym opromieniał także swojego młodszego brata, oraz ogromny kufer...

Zjechał bowiem do zrujnowanej powojennej Polski z imponującym transatlantyckim kufrem z nalepkami, zamkami

i okuciami, który zostawiony na przechowanie u młodszego brata, mojego taty, długie lata stał u nas w pokoju pod oknem, w końcu, gdy już całkiem zbrzydł, trafił do piwnicy i ja go osobiście oddałam firmie sprzątającej mieszkanie w roku 2008, rok po śmierci mamy, kilka po śmierci wujka i kilkanaście po śmierci taty.

Wszystko to, pochodzenie, miastowość, światowość, miało niejako znaczenie, jak to w takich rozważaniach, świadomych czy podświadomych. Ale gdy zastosować zoom w obrazie rodziny mamy i przyjrzeć się jej z większą rozdzielczością, i ona miała swoje powody, żeby uznać nową miłość mamy za niepożądaną, nawet jeśli nie liczyć nieuchronnego, szekspirowskiego wręcz poróżnienia się obu rodzin, mamy i ex-narzeczonego, jak, nie przymierzając, Montecchich i Capuletich.

Choć już kolejne pokolenie..., my, dzieci II. stopnia, znowu byliśmy ze sobą w najlepszej komitywie, jeździliśmy przecież na wakacje w to samo miejsce, gdzie dom w dom mieszkały obie "zwaśnione" rodziny, i bawiliśmy się ze sobą w najlepsze. Czasami nawet żałując, że nie jesteśmy z sobą spokrewnieni, bo znaliśmy rodzinne historie i wiedzieliśmy, że rodziny miał połączyć ślub mojej mamy z ich wujkiem, choć przecież wymiana ojców, naszego taty na ich wujka, unicestwiłaby mnie i siostrę. Ale tak daleko ani nasze fantazje, ani tym bardziej nasza wiedza nie sięgały.

Mój dziadek, ojciec mojej mamy, oraz jego starszy brat, na wieś przybyli niejako *à rebours*. Pochodzili z małego galicyjskiego miasteczka i skończyli szkołę rolniczą, z punktu widzenia "zwykłych chłopów" byli więc "chłopami uczonymi". Sławomir Mrozek wywodzący się z Borzęcina, czyli też z tamtych stron, w swojej autobiografii wspomina dyrektora szkoły "z samochodem, wtedy rzadkością" o tym samym nazwisku, Rogóz, czyżby spokrewnionym z rodziną dziadka? Starszy brat dziadka przyjął posadę zarządcy majątku hrabiego Potockiego blisko owego miasteczka (po wojnie PGR-u), zaś mój młody dziadek kupił kawał majątku wieś dalej, dodał go do wiana dziewczyny, z którą się ożenił, i odtąd "gospodarzył" na swoim. Tak właśnie się określał, gospodarz.

Stał się jednym z najmajętniejszych gospodarzy w zasięgu wsi kilku, tak przed wojną, jak i po wojnie, co po wojnie stało się powodem zaliczenia go do "kułaków". Szczęściem w Polsce ideologiczne represje nie były aż tak bezwzględne jak w przedwojennym ZSRR, choć córki na studia nie przyjęto. Poza tym dziadek grzecznie spłacał swoje kontyngenty i jak w pocie czoła uprawiał swoje ziemie przed wojną, tak uprawiał po wojnie. Zresztą może pomogły poprawne stosunki brata z władzami, bo cieszył się sporym autorytetem? Tego nie wiem.

Nawiasem, wszystko to są okolice Wielopola Skrzyńskiego, skąd pochodzi Tadeusz Kantor, to pewnie dlatego tak bardzo podobał mi się jego teatr, a już szczególnie spektakl "Wielopole, Wielopole", który obejrzałam w 1981 roku na offowej scenie Czerwonej Fabryki, *Rote Fabrik*, w Zurichu, z zachwytem raz za razem, oba gościnne wieczory, bo pobrzmiwało mi w nim wspomnieniami z dzieciństwa, te procesje, te kościelne zawrodożenia bab, ten wiejski proboszcz, ta żywa pamięć żołnierzy jeszcze z I. wojny światowej... Tylko że przyszedłam na świat już po zagładzie galicyjskich Żydów, także bohaterów sztuk Kantora, przez wieki mieszkańców tamtych ziem, o czym dowiadywałam się w miarę dorastania.

Wsie te należały w XIX wieku do hrabiów Potockich. Na początku wieku XX Potoccy część posiadłości wyprzedali. Moi pradziadkowie, rodzice mamy mamy, kupili wzgórze zwane "folwarkiem" wraz ze starym drewnianym pobielanym domem na szczycie, który wcześniej należał do hrabiostwa, dziedzic nocował w nim, gdy przyjeżdżał doglądać interesów. W nim zamieszkali rodzice babci z rozpędu wciąż nazywając "folwarkiem" swoją posiadłość.

W roku 1914 dom ten wyburzono a wybudowano nowy, nadal drewniany, ale już niepobielany, obity elegancką licówką, nowocześniejszy i okazalszy, z oszklonym gankiem od podejścia, ogródkiem pod oknami, studnią i podworcem zamkniętym zabudowaniami gospodarskimi. Dom był kryty dachówką, stodoła i stajnia strzechą, pomiędzy nie, ale to pewnie już później, wplaszono kierat, skomplikowany złożony z groźnych zębatach kół skrzypiący mechanizm z grubym kilkumetrowym pniem, dyszlem, do którego końca zaprzęgano konie a one chodząc w kółko uruchamiały młockarnię, gdy po żniwach przychodził czas wytrząsania ziaren ze zbóż (kto nie miał koni i kieratu, ten młócił na klepisku cepami, co zresztą dziadek też czasami robił a ja mozolnie próbowałam,

budowa cepa może jest i prosta, ale już młócenie cepem bynajmniej).

Razem z rozciągającym się - w dół do głównej drogi wijącej się wzdłuż rzeki - sadem, aleją lipową i topolową, łąką między wierzbnymi, stawami rybnymi (które potem zarosły i ja pamiętam już tylko wodne rośliny przetykane narcyzami, ogromne modrzewie i jeszcze większe akacje w tamtym miejscu) i polami z przynależnym do nich lasem oraz niebem nad nimi gospodarstwo to stanowiło, jak na tamtejsze strony i kiesy, wcale porządny kawał świata na własność. Później zamieszkali tam młodzi małżonkowie i ten dom był domem rodzinnym mojej mamy i mojego dzieciństwa spędzanego pół na pół u dziadków na wsi i z rodzicami w Krakowie, w starej kamienicy blisko Plant i kina Wanda, o rzut beretką od Wawelu, gdzie z braku wzgórza dziadków chodziłam się bawić.

Dziadek, jak na standardy biednej Galicji, prowadził gospodarstwo postępowe, pierwszy kupował nowoczesne maszyny rolnicze (które wypożyczał innym gospodarzom, co pamiętam, bo chłopci przyjeżdżali po nie swoimi wozami i ruch był na podwórzu wzmożony), szukał lepszych rozwiązań, podpatrywał, co robi jego starszy brat u hrabiów Potockich.

To z inicjatywy obu braci w drugiej połowie lat 50. zawiązał się "Komitet Elektryfikacyjny" i to oni tak długo starali się o wszystkie konieczne plany i pozwolenia, po które trzeba było jeździć, hen, do samej Warszawy, aż w końcu postawili na swoim i w chałupach zabłysły pierwsze żarówki a maszyny przeszły z napędu na konie na zasilanie elektryczne, choć było wielu opornych sąsiadów i przekonywanie ich było równie ciężkie, jak same roboty stawiania słupów wysokiego napięcia i przeciągania drutów (i to już pamiętam, bo kręciłam się między robotnikami, którzy przychodzili do nas na posiłki).

Ale dziadek nie tylko należał do postępowej frakcji wsi w kwestiach technicznych, dziadek był chłopem odczytanym. W domu panował kult nauki i słowa pisanego. Mama już jako mała dziewczynka pożyczała wzorem ojca książki z biblioteki i czytała, czytała, czytała. Babcia jeszcze przed wojną pełniła funkcję kronikarza w Katolickim Stowarzyszeniu Kobiet, do którego należała. W posiadaniu naszej rodziny ciągle są pożółkłe protokoły z zebrań z lat 1935 do 39, i nic to, że sama jestem niewierząca, co babci by pewnie nie cieszyło, ważne, że mam bezcenną pamiątkę pisaną jej młodą ręką.

A tato? Nowy narzeczony ich córki? Cóż, wojnę jakoś przepędził handlując czym popadnie i unikając konfliktów z Niemcami. Po wojnie trochę potrwało, zanim zaczął na tyle zarabiać (również w handlu), że zdołał podciągnąć rodzinę do średniej krajowej małej stabilizacji lat 60. Ale że urodził się w niedzielę... przypadkiem tam, gdzie jego mama bawiła na letnisku (ponoć była osobą dość lekkomyślną)... miał fantazję i lubił brać życie na wesoło. W poprzednim wcieleniu musiał być aktorem, komediantem, albo przynajmniej sowizdrzałem, bo potrafił się szarpanąć i odwieźć mamę po randce dorożką lub przywitać ją kwiatami. Wiem, co jej się w nim spodobało, bo sama, zgodnie z wrodzonym wzorcem, w podobnych mężczyznach się zakochuję.

Jednak co mamę ujmowało, to w jej rodzicach budziło obawy (a przecież nawet nie wiedzieli jeszcze o dwóch córkach, jedną już z trudem przetykali). Mieli jednak tę zaletę, że sami też pobrali się z miłości w przeciwieństwie do rodziców babci, wyswatanych, jak to wtedy było w zwyczaju, o czym się wiedziało (wiem, bo i do mnie to w końcu dotarło).

O ile mama uchodziła zawsze za bardzo ładną, dobrze wychowaną, miłą dziewczynę, o tyle babcia w młodości była pełną temperamentu pięknoscią. Była silna, pracowita i choć nie beztroska, jak mama taty, to też skora do tańca i zabaw. Z mamą w ciąży wybrała się na wesele o wieś dalej, przebawiła się i przetańczyła całą noc, nad ranem poczuła, że będzie rodzic, wieziono ją do domu w ciemnościach, bo był to długi mroczny przedświt listopadowy, ściągnięto *na cito* akuszerkę i tym sposobem na świecie pojawiła się moja mama. Wszystko poszło jak z płatka. Też lubiła taniec kondycjonowana prenatalnie. A po niej ja (od 1. klasy szkoły podstawowej chodziłam na lekcje rytmiki z elementami baletu do Pałacu pod Baranami, czyli wtedy byłej własności hrabiów Potockich, która miała do nich wrócić w 1990 roku).

Mama mamy zrozumiała córkę i szybko dała się przekonać, że uczuciowe potrzeby są ważniejsze od zachowania formy i innych okołomażeńskich spekulacji. Gorzej było z ojcem, surowszym i bardziej nastawionym na dbanie o wizerunek liczącego się ze zdaniem innych gospodarza. Złamanie słowa wobec syna sąsiada oraz pokazanie się z nowym wybrańcem mamy, o czym oczywiście we wsi huczało, wiele go kosztowało.

Jednak dawał się przekonać na argumenty. Sam tak przecież postępował. To nie chłopski upór spowodował, że w jego wsi zabłysło światło elektryczne. To wiedza, umiejętność przekonywania i wytrwałość w dążeniu do celu. Moja mama była jego nieodrodną córką. Owszem, bywało, że się na coś zezłościła, a nawet wściekła, ale nie była kłótniwa. Zawsze dyskutowała, argumentowała, przekonywała nie zapominając o wysłuchaniu i rozważeniu argumentów przeciwnych. Ona wyniosła to ze swojego domu, a ja, dzięki niej, z mojego, tego, który ze swoim ukochanym mężczyzną stworzyła i dzięki czemu jestem.

Stanęło na tym, że w grudniu 1952 roku wzięli cichy ślub cywilny w Krakowie a miesiąc później jeszcze cichszy w kościele w rodzinnej wsi. Żeby się do niej dostać, trzeba było przyjechać pociągiem do stacji najbliższego miasteczka. Stamtąd było jeszcze wiele kilometrów do pokonania, po przyjeździe trzeba było wyjechać bryczką czy furmanką (lata miną, zanim do wsi zostanie doprowadzona linia autobusowa). Dziadek wyjechał, ale nie wrócili do domu prowadzącym przez środek wsi gościńcem. Objechali wieś zasypanymi głębokim śniegiem polnymi drogami i zjechali do domu z całkiem innej strony, żeby ich nikt we wsi nie widział. Tak to było. Wesela też nie było, bo skąd. Warunek rodziców panny młodej brzmiał: muszą złożyć przysięgę przed Bogiem, ślub cywilny się nie liczy. Wesela nie wyprawiają, bo nie ma się z czego cieszyć.

Wkrótce jednak, nie licząc oczywistych "wad" w postaci łysiny i dwojga dzieci od wejścia - mama wychodząc krytyce naprzeciw deklarowała wszem i wobec, że choćby tato miał czwórkę dzieci i tak by jej to nie powstrzymało przed poślubieniem go - wszyscy się przekonali, że tato jest po prostu strasznie fajny i szybko go polubili (zaś były narzeczony opuścił wieś rodzinną na zawsze, rzadko do niej zaglądał, ożenił się, został ojcem trzech synów i z mamą się w końcu pogodził, gdy - przedwcześnie, przed moim tatą, w szpitalu krakowskim - umierał, posłał po mamę i mama poszła go pożegnać).

Tato, mieszczuch z dziada pradziada, kochał wieś bardziej niż mama i gdy tylko mógł, odwiedzał teściów, udzielał się w polnych robotach, pomagał przy pracy wokół zwierząt, koni szczególnie, i w ogóle wnosił dużo dobrej nowej energii do gospodarstwa. Jego przyjazdy - już teraz oficjalnie, środkiem wsi, z fasonem - były świętem (dla niego pobyty na wsi też były świętem, inna sprawa, że gdyby miał wiejskie obowiązki na co dzień, pewnie i jego entuzjazm by przybladł).

Co nie znaczy, że w małżeństwie mamy nie było poważnych problemów. Choćby z dziewczynkami taty, moimi siostrami, bo były na tyle duże, że doskonale pamiętały swoją zmarłą mamę, za którą oczywiście tęskniły, więc nową żonę taty przyjęły, oględnie mówiąc, z dużą rezerwą. Moja mama miała lat 22, a starsza córka taty prawie 12 (młodsza, jak już wspomniałam, 9). Obie wkrótce weszły w wiek i tak najtrudniejszy dla rodziców, nawet rodzonych. A tu jeszcze jak w złej bajce, pojawiła się młoda macocha. I po roku i ja dokooptowałam do zespołu a za kolejne 3 i pół roku najmłodszy członek rodziny, nasza czwarta siostra.

Trzeba było niezłych ekonomicznych ekwilibrystyk i nieustannego rozwijania sztuki współżycia i kooperacji, żeby w tamtych trudnych, i, co tu dużo mówić, biednych czasach, żyć i przeżyć w tak pozszywanej rodzinie. Dziś nazwalibyśmy ją patchworkową, dość powszechną, wtedy wystającą poza obowiązujący schemat, kłującą w oczy, co tam i sam nastroczało kłopotów. A jednak dla mnie był to niezły tygiel, w którym dorastałam i który mnie stworzył. Moje starsze siostry były dla mnie inspiracją, spierałam się z nimi i podziwiałam je, dzięki nim szybciej dojrzewałam, zabierały mnie do kina, podczytywałam ich książki, słuchałam ich płyt, kochałam się w ich chłopakach...

TAJEMNICE MIŁOŚCI JAKO TAKIEJ

Można się urodzić księciem lub żebrakiem, ale zgodnie z rachunkiem prawdopodobieństwa książąt jest w świecie tyle co kot napłakał, a i żebraków jest stosunkowo niewiele, najwięcej jest na świecie zwykłych ludzi. Zwykły człowiek zwykle rodzi się gdzieś pomiędzy i odtąd żyje swoje życie zgodnie ze swoim mniej czy bardziej zwykłym losem, przeznaczeniem, lub, jeśli sięgnąć po pojęcie z teorii chaosu, atraktorem.

W sumie każda rodzina w pewnym konkretnym społeczeństwie, w pewnych określonych czasach jest do pewnego stopnia zwyczajna, bo obowiązują ją pewne sztywne normy, co ją ujednolica, i dopiero od pewnego stopnia jest niezwykła, bo jest sumą różniących się między sobą indywidualności oraz nieprzewidywalnych wydarzeń spadających na nich losowo. Wzajemne oddziaływanie na siebie osobowości i przypadków tworzy tę jedną jedyną rodzinną konstelację, która jest tak różna od wszystkich innych, jak różnią się między sobą jej poszczególni członkowie z ich niepowtarzalnymi indywidualnymi losami, i która w swojej innej od innych dynamice oddziałuje na każde kolejno przychodzące na świat dziecko.

Mama musiała sobie poradzić z wyzwaniami, które stawiało przed nią życie. Nie miała jeszcze 30 lat i już miała czworo dzieci, w tym dwie wojowniczo do życia i do niej nastawione nastolatki kulturowej rewolucji lat 60. z Brigitte Bardot, big-beatem i Beatlesami... W drugiej połowie lat 50. najmłodsze dziecko jako całkiem jeszcze małe musiał być przy niej, starsze dziewczynki chodziły do szkoły, ja jako jedyna mogłam spędzać u dziadków na wsi więcej czasu między 2 a 6/7 rokiem życia, odciążając tym samym rodziców.

Mama nad tym bardzo bolała, powtarzała mi to, gdy byłam już dorosła, ale uspokajałam ją. Dla mnie długie i częste pobyty na wsi były darem od losu. Dały mi poczucie, że gdy wychodzę z domu, nadal jestem w świecie, który należy do mnie, jestem jego integralną częścią, częścią ziemi, nieba, chmur, lasów, sadów, pól, polnych dróg, świata zwierząt domowych i zwierząt dzikich. Słońce, gwiazdy, księżyc, dzień i noc, świt i zmierzch, różne pory dnia, różne pory roku, różne pogody z tej perspektywy wyglądają zupełnie inaczej. Przestrzeń i czas zupełnie inaczej przeżywa się na wsi, zwłaszcza jako dziecko. I zwłaszcza, gdy jest się dzieckiem miejskim. Z zewnątrz.

Łączę w sobie jedno i drugie, czas dzieciństwa w mieście i na wsi, zwłaszcza na wsi, wspominam jako osobisty raj na ziemi, bez żadnej przesady i bez idealizowania. To mój kapitał, z którego czerpię całe życie. Byłam pierwszą wnuczką rodziców mamy. Miałam kochających siebie i mnie dziadków, i mnóstwo cioć i wujków. Wszyscy dorośli wokół mnie wpłynęli na mój rozwój. Nie ograniczali mnie, brali pod uwagę moje potrzeby, pilnowali mnie, ale zostawiali mi sporo autonomii, byłam traktowana jak pełnoprawny członek rodziny, tyle że trochę młodszy od innych. Jako dziecko i jako nastolatka.

Gdy w wieku 15 lat koniecznie chciałam obejrzeć transmisję na żywo z lądowania na Księżycu, a było to, jak pamiętamy, w lipcu, i wszyscy byliśmy na wakacjach na wsi, gdzie telewizory były pieśnią przyszłości, przekonałam moich rodziców, ja, wielbicielka książek science-fiction uważająca Stanisława Lema za swojego guru, żeby pozwolili mi na obrócenie do Krakowa na tę jedną noc. Zgodzili się, choć była to dość skomplikowana podróż, moja pierwsza samodzielna na tak dużą odległość. Byli otwarci na argumenty, a już zwłaszcza mama.

To ona wprowadzała mnie w życie, cierpliwie odpowiadała na moje pytania, prowokowała nowe, pokazywała i tłumaczyła świat, powoli i z wyczuciem odkrywała przede mną tajniki życia uczuciowego i intymnego. Mogłam mieć jakieś 5, 6 lat, gdy zabrała mnie wieczorem do stajni, gdzie działo się coś niecodziennego. Mama przeforsowała to ze swoimi rodzicami, że mogę i ja być świadkiem tego wydarzenia: jedna z krów miała urodzić cielaka. Trzeba jej było w tym pomóc. Zajmowali się tym dorośli, a mama mi tłumaczyła, co się dzieje.

Odbywało się to jeszcze przy lampach naftowych, nigdy więcej nie doznałam tak intensywnego wrażenia cudu. Cielaczek - cały mokry - zaraz zaczął stawać na nogi, a jego mama zachęcała go do tego trącając go nosem i wielkim jęzorem z wyraźną satysfakcją doprowadzając mu do porządku jego zlepioną i zmierzwioną sierść. Na następny dzień już hasał wesoło i energicznie szukał maminego wymienia.

Gdy już wiedziałam, skąd biorą się dzieci, mama wyjawiała mi w umiejętnie dozowanych odcinkach, skąd biorą się

ojcowie. I dlaczego wszystkie córki taty są do niego podobne, choć przecież urodziły nas nasze mamy, a nie on. A gdy i ja osiągnęłam wiek miłości, zadbała o to, żebym była zabezpieczona przed niechcianą ciążą. Było to w roku 1972, wtedy, gdy uświadamianie seksualne było doprawdy w powijakach, a przecież nawet i dziś, w dobie Internetu, ciągle raczkuje. Wtedy myślałam, że wszystkie mamy wprowadzają swoje córki w dorosłe życie, wydawało mi się to zupełnie naturalne, teraz wiem, że mama była wyjątkiem na skalę wręcz światową, a już na pewno Polski. Więc skąd ona wiedziała jak właściwie postępować?

Przede wszystkim sama całe życie się uczyła. Gdy nie dostała się na studia nie byłaby córką swoich rodziców, gdyby spasowała. We wrześniu 1956 roku zapisała się na Kurs Technika Kreślarskiego i skończyła go w czerwcu 1959, była zdolna manualnie, ładnie rysowała, szydełkowała, szyła, robiła na drutach, a wszystko to precyzyjnie, starannie. W tym czasie urodziła swoje drugie dziecko, moją młodszą siostrę (w domu więc była czwórka dzieci, fakt, ja często w domu dziadków, ale i trójka była wystarczająco absorbująca).

Już wtedy, gdy pracowała w swoim pierwszym biurze projektów, zdobyła też zaocznie zawód kosztorysanta. Prawie całe zawodowe życie przepracowała w biurach projektów. Najlepiej opisała to Joanna Chmielewska w przeżabnym "Lesiu" i innych swoich kryminałach, więc ja już nie muszę, dodam tylko, że chodziłam z mamą oglądać nowo powstające w Krakowie budynki, hotel "Cracovia", "Bunkier Sztuki", dom handlowy "Jubilat"... uchodzące za ultranowoczesne, czemu nie mogli się dość nadziwować niektórzy tkwiący w XIX wieku krakowianie...

Od roku 1960 przez kilka kolejnych lat uczęszczała też na kurs języka angielskiego, którego zaczęła się uczyć jeszcze w szkole, mnie też od pierwszej klasy szkoły podstawowej zapisała i choć szybko się okazało, że kurs nie przeżyje, bo chętnych jest za mało, zdążyłam nauczyć się angielskiej wymowy, co w mojej zagranicznej przyszłości miało mi się przydać.

Poza tym dużo czytała. Tato miał swój monotematyczny zbiór książek, czytał prawie wyłącznie o drugiej wojnie światowej i powojennych procesach, nic dziwnego, miał 20 lat, gdy wojna wybuchła, co wyrzuciło do góry nogami wszystkie jego plany na życie. Jego brat uciekł na wschód i wrócił dopiero dobrych kilka lat po wojnie. Siostry też opuściły Kraków. Jak się miało okazać na zawsze. Chciał zrozumieć. Sam najpierw ruszył śladami brata, ale zatrzymała go miłość do dziewczyny jeszcze przed Przemyślem. Wkrótce się ożenił i na świat przyszły jego wojenne córki, moje przyszłe siostry.

Mama, niedoszła polonistka, lubiła literaturę piękną. A także różnego rodzaju wchodzące wtedy na rynek poradniki. Lubiła też prenumerować cykliczne wydania. Tym sposobem w domu pojawiły się pięknie wydane "Dzieła wszystkie" Słowackiego, trzynastotomowa encyklopedia, wielkie osiągnięcie wydawców Polski Ludowej, seria popularnonaukowa "Omega" itd. itp. Zawsze też był aktualny "Przekrój" (mama zbierała każdy numer i z pietyzmem oprawiała roczniki), "Kobieta i Życie", miesięcznik "Problemy", a także odpowiednio do wieku "Miś", "Świerszczyk" i "Płomyczek" dla nas, dzieci. Słowo pisane było u mamy w cenie.

Tato zaś po pierwszym zachłyśnięciu się komunizmem, jak wielu młodych postępowych wtedy, wsłuchiwał się nocami w trzeszczące Radio Wolna Europa. A rano wyjmował z szafy nowiutki błyszczący akordeon, którego kupienie wymagało od niego z pewnością wielu wyrzeczeń, i - zależnie od tego, czy wieści ze świata były dobre, czy złe - robił całemu domowi pobudkę na wesoło lub na melancholijnie. Bo poza tym rodzice trzymali się z dala od polityki i struktur władzy. Rezygnowali tym samym z korzyści, ale też ominęły ich uwikłania w układy i wzajemne zależności. Dopiero w roku 1980 mama zaangażowała się w działalność Solidarności.

W roku 1985, gdy rodzice przyjechali do mnie do Szwajcarii, gdzie od 10 lat mieszkałam, Solidarność, jak wiadomo, upadła, a Polska przeżywała swoją szarą dekadę pod rządami Generała-w-Czarnych-Okularach. Ludzie w ich wieku stracili nadzieję na lepsze czasy, dla nich lepsze czasy już były, nawet jeśli nie były najlepsze. Chciałam im trochę osłodzić przykry smak solidarnościowej klęski, ich poprzedni dłuższy pobyt, w roku 1979, był pod zupełnie inną egidą. Teraz robiliśmy sobie znacznie więcej wypadów po Szwajcarii a nawet skoczyliśmy na

parę dni do Paryża, świat to przecież nie tylko smętny PRL, złe rządy i puste półki w sklepach.

TAJEMNICA PSA

Wycieczka ta była pod każdym względem niezapomniana. Po pierwsze już w pierwszy wieczór, gdy o północy wróciliśmy na ostatnich nogach z obchodu Paryża, ktoś w międzyczasie usiłował okraść nasz land rover, szyba od strony pasażera była wybita. Nic nie zginęło, bo uzbierało nam się już trochę doświadczeń w tym względzie, więc przezornie wszystko zdeponowaliśmy u naszych przyjaciół. Ale i tak zamiast postawić dach, rozwinąć koje i położyć się spać po dniu pełnym wrażeń, powędrowaliśmy na policję na gorąco zgłosić włamanie.

Gdy w końcu wróciliśmy, przy naszym samochodzie siedział pies. Duży. Wilk. Od strony kierowcy wejście było więc zablokowane, skąd mogliśmy wiedzieć, co powie pies, gdy będziemy usiłowali dostać się do auta? Po nerwowej naradzie udaliśmy się do mieszkania przyjaciół, gdzie wszyscy już oczywiście zabierali się do spania, i zorganizowaliśmy prowizoryczną miskę z ludzkim jedzeniem dla psa, jakiś makaron z konserwą czy coś... Czy będzie mu smakować? Nie będzie, będziemy się martwić. A może znikł?

Był! Zjadł, co dostał, z apetytem, był najwyraźniej głodny. Łapczywie popił wodą. I nie tylko uprzejmie wpuścił nas do samochodu, ale wsiadł razem z nami. Niech siedzi, popilnuje okna z wybitą szybą. Następnego dnia upłynął nam pod znakiem poszukiwania właściciela psa. Ale najpierw udaliśmy się w znane nam już miejsce, na policję. Spędziliśmy jakąś niebotyczną część dnia w kolejce pełnej zdenerwowanych ludzi wykrzykujących swoje racje we wszystkich językach świata i w końcu udało nam się zgłosić psa. Policjant wyciągnął pudło pełne fiszek, przeszukał, dołączył do niego naszą fiszkę. Na odchodnym poinformował nas, że jeśli psa zostawimy, to ma cztery dni życia, Paryż nie ma schroniska dla psów-znajdów, usypia się je.

A pies był cudny. Już go zdążyliśmy polubić. Wszyscy. My, moi rodzice, nasi przyjaciele... Póki co reszta dnia upłynęła nam na obchodzie okolicznych ulic, sklepów, galerii... z psem na pasku od spodni. I wypytywaniu, czy ktoś go nie zgubił, nie zna?... Ale już w duchu zaczynaliśmy się przyzwyczajać do myśli, że będzie nasz. Miał obrózkę, ale żadnego numeru. W kolejny dzień wybraliśmy się do zamku w Fontainebleau. Pies z nami. Jakby zawsze do nas należał. Z zamkowego tarasu patrzyliśmy na panoramę Paryża. Pies też patrzył! Paris! Nazwiemy go Paris!

I tak oto na kolejne 14 lat nastał w naszym życiu Paris, który spolszczył się do Parysa. Nikt go nie szukał, nikt za nim nie dzwonił, gdy już wróciliśmy do domu w Szwajcarii (telefon zostawiliśmy paryskiej policji, choć już nie chcieliśmy, żeby się odezwała). Przeszmuglowaliśmy go i zaraz po powrocie przedstawiliśmy go naszej pani weterynarz, trochę w strachu, bo kto w cywilizowanym świecie szmugluje psy? "*Glück gehabt, miałeś szczęście!*", poklepała go i wystawiła wszystkie potrzebne dokumenty.

Znała nas, bo właśnie tego lata nastąpiły u nas dwa małe kotki, biały i bury, które trzeba było obejrzeć, zaszczepić, odrobaczyć. Mieszkaliśmy wtedy bardzo "pańsko", w jednorodzinny domu z ogrodem, który dzieliliśmy z młodszym rodzeństwem mojego męża, pod Zurichem, *just* przy tej samej ulicy mieszkał przed wojną Tomasz Mann z rodziną. Nasz ogród od lasu odgraniczała jedynie siatka, zaraz za nią szeleszczący po kamieniach strumyk, kawałek dalej leśne oczko, spacerowe alejki... tylko psa brakowało. Ale czy nasze koty zaakceptują psa-wilka? Z ich punktu widzenia potwora? Ba, chodziły razem z nim na spacerki!

Nigdy nie dowiedzieliśmy jaki miał los zanim do nas trafił, tajemnicę zabrał do krainy wiecznych psych łowów. Zjeździł z nami pół Europy, pływał z nami po europejskich akwenach, bo mój mąż, który miał być lekarzem, postanowił zrealizować marzenie swojego dzieciństwa i został żeglarzem (mówię przecież, że wybieram takich mężczyzn). "Francuski piesek", stał się więc prawdziwym "wilkiem morskim".

Lecz czy to z powodu nadmiaru przeżyć, czy po prostu tak miało być, tato po raz pierwszy w życiu poczuł się w

Paryżu kiepsko i nie wybrał się na pożegnalną kolację do rosyjskiej restauracji, w której nocami grywał Polak-pianista. Jego szwajcarski zięć z naszym francuskim psem zostali pełni przy nim wachę. Więc przy stoliku siedziałyśmy z mamą same i słuchając tęsknych rosyjskich melodii przeplatanych nieśmiertelnymi kawałkami Chopina, popijałyśmy wino każda zatopiona w swoich myślach. Mama była niespokojna o swojego męża, ja o swojego tatę i o to, jak my sobie teraz poradzimy z nowym członkiem rodziny o mitycznym imieniu Parys i wielką gębą, sporym obowiązkiem, a my wiedliśmy jak dotąd życie dość zwariowane.

Co my wtedy jadłyśmy? Czy były to bliny z łososiem i kwaśną śmietaną, moje ulubione francuskie rosyjskie danie? Jak mama zapamiętała sobie tamten wieczór? Tamten Paryż? "Nie wyobrażam sobie życia bez taty", powiedziała i... opowiedziała mi o trudnych początkach ich miłości i o tym, że to wcale nie jest takie oczywiste, że pojawiłam się na świecie. A za mną moja siostra. Wszystko mogło się w jej życiu ułożyć zupełnie inaczej. Beze mnie. Bez nas. Bez taty.

Bez taty... Bez poczucia bezpieczeństwa jaki jej (a przedtem nam, dziewczynom) dawał, bez jego poczucia humoru, bez łobuzerskiego wdzięku *à la charme* Jean-Paul Belmonda, bez "*Helenko, kochanie, skarbie*"... Bez taty... Tato przeżył jeszcze całe 8 lat. Niestety, do pełni zdrowia już nie wrócił. W końcu wyglądało na to, że trzeba się będzie nim opiekować. Wtedy mama zrobiła kurs dla opiekunów chorych w Hospicjum. Chciała się tatą opiekować sama. W domu, ale fachowo. Żeby mu było jak najlepiej.

Ale ledwie skończyła kurs, tato zmarł, nie pomogła udana operacja, "sukces szpitala". Mama przeżyła to bardzo ciężko. Przez dwa lata korzystała z pomocy pewnej pani psycholog od spraw kryzysowych. A potem zaprzyjaźniła się z paniami wokół pani psycholog. Panie założyły kółko psychologiczne, spotykały się regularnie i pod okiem pani psycholog wygłaszały referaty, dyskutowały na różne nurtujące je tematy, bardzo to musiało być rozwijające, nadal przechowuję teksty napisane przez mamę.

Niezależnie od tego mama kontynuowała chodzenie na wykłady Uniwersytetu Trzeciego Wieku, co zaczęła robić jeszcze za życia taty. Przez 14 lat była pilną słuchaczką wykładów z różnych dziedzin. Tam z kolei zawiązało się kółko amatorów wspólnych wycieczek krajoznawczych, prawie każdą niedzielę gdzieś wyruszali, bliżej i dalej Krakowa. Poza tym jeszcze w latach 60. należała do Koła Miłośników Teatru, nie opuszczała żadnej ciekawej premiery, spotkań z aktorami, teraz też, nawet jeśli rzadziej, bo była bardzo zajęta, chodziła do teatru. A czym była tak bardzo zajęta wdowa-emerytka? Po śmierci taty mając w kieszeni kurs opiekuna w medycynie paliatywnej przez wszystkie lata do swojej śmierci w roku 2007 pracowała jako wolontariuszka w Hospicjum.

TAJEMNICA KUFRA

Od śmierci mamy musiał minąć dobry rok, zanim podjęłyśmy z siostrami decyzję o likwidacji naszego rodzinnego mieszkania. Kto już ma śmierć rodziców za sobą i nie ominęła go czynność przygotowania ich mieszkania do sprzedaży, czyli usunięcia wszystkiego do ostatniego drobiazgu, ten wie, jak bolesne i smutne jest to zajęcie. Zajęło nam to półtora miesiąca. Trzeba było każdą rzecz z osobna wziąć do ręki, przejrzeć wszystkie papiery i papierki, zdjęcia, pamiątki, książki, coś zatrzymać, całą resztę usunąć, sprzedać, rozdać, wyrzucić. A tu wszystko, dosłownie wszystko kojarzy się z żywymi osobami. Najbliższymi.

W końcu uporałyśmy się, zresztą nie zawsze na smutno, czasami bywało nam bardzo wesoło, gdy wspominałyśmy jakieś wesołe czy zabawne chwile. Nareszcie został już tylko stary zdezelowany kufer podróżny zwieziony tuż po wojnie z zagranicznej tułaczki przez brata taty. Wujek go nigdy nie zabrał, ostał się u nas. Po ponad pół wieku nie był już do uratowania, nawet czaru antyku już nie posiadał. Ale zanim ostatecznie wylądował w kontenerze do wywiezienia w niebyt, wydobyłam jego zawartość.

To był spadek po mamie przeznaczony głównie dla mnie. Był to dziennik mamy, którym tylko ja miałam się zająć. Od 14-go roku mama pisała dziennik. Ponieważ miała liczne (i ani chybi ciekawskie) młodsze rodzeństwo, pisała

swój dziennik szyfrem.

Wymyśliła sobie swój własny tajny alfabet i dzień po dniu z niewielkimi, jak wiem, wyjątkami, konsekwentnie i systematycznie pisała go przez całe swoje życie. Robiła to najpierw w zeszytach A5 a potem w notesikach o połowę mniejszych, żeby móc je nosić w torebce.

Gdzie tylko mogła na chwilę usiąść, tam pisała. Pamiętam ją ciągle coś notującą. Błyskawicznie, drobnym tajemniczym pismem. Pisała też w łóżku przed snem i zaraz po obudzeniu się. Opisywała wszystko, co robiła, co się wydarzyło, co myślała, a nawet co jadła, jeśli było to coś innego niż zwykle. Przepastny kufer wypełniony po brzegi zeszytami i zeszytikami, ułożonymi chronologicznie, podpisanymi i powiązаныmi sznureczkami w niewielkie stosiki, to jak kapsuła czasu. Mama najpierw śmiała się, że i tak nikt tego nie odczyta, bo choć to nie enigma, komu by się chciało rozgryzać szyfr, potem zaznaczała, że możemy z moją młodszą siostrą przeczytać, ale dopiero 10 lat po jej śmierci.

Jednak gdy koniec jej już był bliski, jak się potem okazało, na dzień przed śmiercią, gdy zapytałam ją, czy mogę ewentualnie już wcześniej zacząć czytać jej dziennik, bo co będzie, jeśli nie zdążę, zgodziła się, świadoma, że jeżeli ja tego nie zrobię, to przepadnie raz na zawsze. Moja siostra i ja nie mamy dzieci - ja nie chciałam, a mojej siostrze tak się ułożyło - linia mamy kończy się na nas (starsze siostry to linia ich mamy). Z nas dwóch to ja z czytania i pisania, czyli tego, co mama z taką pasją poza godzinami pracy uprawiała, zrobiłam sobie w końcu zawód. Mama była moją wierną czytelniczką, dumną ale też życzliwie krytyczną. Słowo pisane to moja domena. Moją młodszą siostrę zajmuje całkiem coś innego (niedawno w ramach zdobywania nowych kwalifikacji została dyplomowaną asystentką weterynarii).

Po śmierci mamy więc "złamałam szyfr", czyli doszłam, jakie znaki za jakie litery alfabetu są podstawione (nie do końca jeden do jednego, bo, jak wykonywałam, mama zapisywała głoski cz, ch, sz, dz itd. itp. jednym znakiem, a nie dwiema literami). I teraz czytam sobie jej zeszyty. Na razie z lat szkolnych. Nie śpieszę się, bo sama wolę, żeby trochę jeszcze czasu minęło, zanim dobiore się do jej lat dorosłych. Mama pisała to wyłącznie dla siebie, nie dla kogoś. Jej notatki są bardzo szczere. Mogę się dowiedzieć wielu rzeczy, o których nie wiem i może nawet wolałabym nie wiedzieć, w razie czego będę musiała to udźwignąć.

Ale wiem, że - zakładając, że zdążę - dziennik ten przeczytam do końca. Jestem, czuję się do tego zobowiązana. Na razie się wprawiam, bo w miarę jak mama wyrastała ze szkolnej ławki, jej pismo, to tajne także, stawało się naturalną kolejną rzeczą coraz bardziej dorosłe, szybkie, trzeba je dobrze poznać, żeby móc je płynnie czytać. Spodziewam się, że mogę się dowiedzieć jak się poczęłam, jak się urodziłam, jak mama zmagająca się z wychowywaniem czwórki dzieci...

Jak przeżyła śmierć swojego młodszego brata, który we wrześniu 1945 roku w wieku lat 12 zginął od przypadkowego granatu. Ile starań i zabiegów kosztowało ją ratowanie siostry chorej na serce, która w wieku lat 19 miała mieć (w krakowskim szpitalu) pierwszą operację w Polsce przeprowadzoną na otwartym sercu, ale uciekła ze szpitala, bo bardzo się tej operacji bała. Moi rodzice (mama miała wtedy 25 lat) zawieźli ją taksówką z Krakowa na wieś. Umarła dwa dni później, 6 lutego 1956 roku.

Operacji miał dokonać zespół lekarzy szwedzkich, szansy na przeżycie ciocia praktycznie nie miała. W szpitalu zachorowała na zapalenie otrzewnej, była już bardzo słaba. Poddanie się uspieniu oznaczałoby świadome poddanie się eutanazji. Tego ciocia nie chciała. Jej choroba i śmierć były rodzinną tragedią, którą już ja, mimo że miałam dopiero dwa lata, zapamiętałam. Moje najodleglejsze wspomnienie, bardzo wyraźne, bo ciocia w otwartej trumnie wyglądała jakby spała. Spojrzałam z bardzo bliska śmierci w twarz, bo mama mnie wzięła na ręce i pochyliła się ze mną nad ciocią, żebym ją pocałowała. Pewnie nie przypuszczała, że mogę to zapamiętać na resztę życia. Odtąd śmierć ma dla mnie delikatne rysy ciocie, wokół głowy długie kręcone, płowe jak pszenica włosy, białe koronki i kwiaty. Tak sobie później wyobrażałam królową Śnieżkę w trumnie.

Mama zostawiła też spisywaną od 1970 roku z ogromną dbałością o daty i szczegóły kronikę rodzinną - oczywiście łacińskim alfabetem - oraz całe stosy listów, w tym listów ode mnie. Ja mam komplementarną część tej korespondencji. Czytając to, mogę sięgać i przypominać sobie wszystkie etapy w życiu odkąd zaczęłam czytać i pisać. Ja, od małego fanka książek sf, czuję się jak podróżnik w czasie. Umysł i wyobraźnia dosłownie stapiają mi się z opisywanymi wydarzeniami. Siadam do czytania i wysiadam w tamtych czasach, miejscach, klimatach, zapachach, smakach, wśród tamtych dawno nieżyjących ludzi, którzy jak zaczarowani ożywają, coś robią, coś mówią, coś czują... A ja mogę ich widzieć i słyszeć. I razem z nimi wszystko przeżywać od nowa. Czuć tamto słońce, tamte deszcze, tamte śniegi i wichury, bawić się z tamtymi zwierzętami...

Wsiądę w swój wehikuł czasu i najprawdopodobniej dowiem się, co jadłyśmy z mamą tamtego wieczoru w Paryżu. Jak mama przeżyła naszą rozmowę i pierwsze symptomy choroby taty. Co sądziła o fakcie, że oto nagle mamy psa, którego trzeba nielegalnie wwieźć do Szwajcarii, takiego praworządnego kraju... Ciekawe, czy odnotowała, że na koncercie w Zurichu, też znowu tylko we dwie, siedziałyśmy obok Grety Garbo, czy raczej tylko zapisała, co to był za koncert? Bo ja nie pamiętam... Czuję się spadkobierczynią i strażniczką nie tylko jej przedmiotów, ale również, a nawet przede wszystkim jej pamięci.

Gdy się urodziłam, w kwestii mego imienia rodzina podzieliła się na dwa obozy, tato widział we mnie Elżbietę, wszak miał już Marię i Magdalенę, rodzina mamy chciała mieć Ewę. Rodzina mamy, jako liczniejsza i bardziej stanowcza, przeciągnęła linę, zostałam ochrzczona "Ewą". Tato poszedł do Urzędu Stanu Cywilnego i - jak to on, nie przejmując się zupełnie postanowieniami odgórnymi - zgłosił, że został ojcem "Elżbiety". Ostatecznie nie licząc Ewy, mam trzy imiona: Elżbieta oraz Kazimiera po mamie mamy i Helena po mamie ale też mamie taty, babci, której nie znałam. Jestem nimi wszystkimi wymieszana z DNA ich mężczyzn. Elżbieta Kazimiera Helena, córka Heleny i Jana.

*

Dużo wcześniej i w innej sytuacji napisałam też opowieść o tacie.

Parysa upamiętniłam w wierszu "Sen psa".

*

Więcej o książce "Nasze Mamy" oraz o planach udanych i nieudanych.